



### **3 Let's Dance!**

Wkładam w poniedziałek rano swoje niebieskie buty i zieloną kurtkę zapożyczoną od "Taksówkarza". Przed wyjściem robię jeszcze do lustra "You're talkin' to me?". Sprawdzam zegar. Jest za pięć siódma. Za godzinę będę po drugiej stronie Odry, na kampusie, w budynku C-13. Od czasu do czasu zdarza się, że o tej samej porze, w niektóre poniedziałki będę już na politechnice, w laboratorium fizyki.

### **7 Instrukcja obsługi człowieka**

„Wiemy o ludziach tyle, ile nam powiedzą. Wiedzę tę następnie panierujemy. W skład panierki wchodzi: obserwacja własna, mieszanka filtrów i autorski komentarz. Tak przygotowany człowiek łąduje na rozgrzanym tłuszczu sytuacji i jest gotowy do spożycia”.

### **13 Panierka**

Człowiek z biologicznego punktu widzenia to istota żywa wyróżniająca się pośród innych najwyższym rozwojem psychiki i życia społecznego, jedyna posiadająca kulturę i zdolna do jej tworzenia.

### **15 Buty i ludzie**

Stoję z tłumem na przystanku. Czekam, tłum również. Czekamy... Tablica wyświetla: „10 za trzy minuty, 33 za pięć”. W pierwszy - lepszy – wsiamam, tłum również. Wsiadamy...

### **18 Tears in Heaven**

Opowiadanie Bartosza Kaczmarka o naszej szkole.

### **Wkładka**

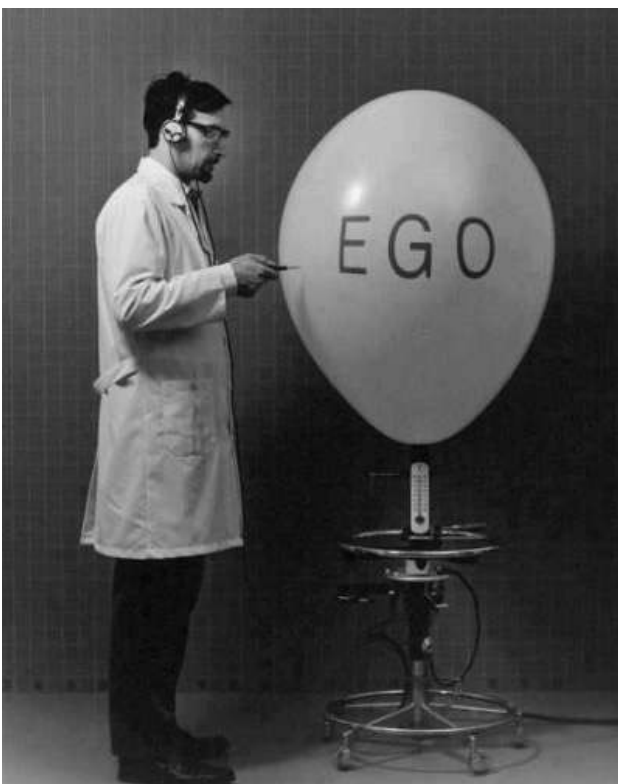
Uczniowie prof. Beaty Kwapińskiej przygotowali ciekawą wkładkę, w której znajdziecie:

- quiz „Rozpoznaj swojego profesora”
- cztery karty z nauczycielami z naszej szkoły
- plakat Oblicza ZSA

# Let's Dance!

Wkładam w poniedziałek rano swoje niebieskie buty i zieloną kurtkę zapożyczoną od "Taksówkarza". Przed wyjściem robię jeszcze do lustra "You're talkin' to me?". Sprawdzam zegar. Jest za pięć siódma. Za godzinę będę po drugiej stronie Odry, na kampusie, w budynku C-13. Od czasu do czasu zdarza się, że o tej samej porze, w niektóre poniedziałki będę już na politechnice, w laboratorium fizyki.

**P**oniedziałek jest w zasadzie najłżejszym dniem w tygodniu, antytezą garfieldowskiej maksymy. Jedynie trzy przedmioty, dużo przerw. Życ, nie umierać... I to właśnie zachęca do dalszej pracy przez resztę tygodnia. Nie pozwala wątpić w wybór szkoły. Człowiek może dostrzec wiele zalet tejże placówki. Główną niech będzie doświadczona, dobra albo po prostu fajna kadra. Na wiele przedmiotów mam wielką, ale to naprawdę wielką ochotę usiąść, wysłuchać, zanotować, wziąć udział w lekcji. Bez żadnych oporów, żadnych przeszkód. Zażyć ten dziwny narkotyk i później zebrać to, co się zasieje.



## "Like a Rolling Stone"

Czasami pozwalasz się zachłysnąć sobą. Pozwalasz, byś się podziwiał, zatracił we własnym ego. Nie widzisz granic. Wszystko jest możliwe. Pragniesz jedynie się bawić. Nie dbasz ani trochę o resztę świata. Nie pamiętasz wtedy, do czego dążysz, bo wszystko kładą Ci na srebrnej tacy. Jesteś ślepy, ale kochasz to uczucie, bo jest proste. Jesteś sam dla siebie. Jak spadający głaz.

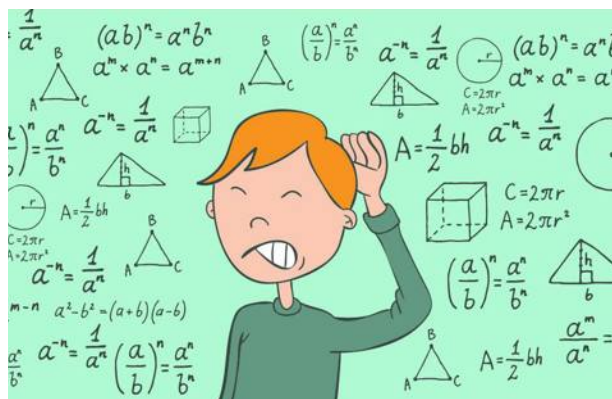
Wtorek, po lekkim poprzednim dniu, wydaje Ci się niebem, nieskończoną imprezą. Tak jest przynajmniej na początku. Czujesz się, jakbyś wszedł w Godmode i mógł zawojować cały świat. Ale potem odkrywasz, że w rzeczywistości jesteś w połowie drogi między samolotem a ziemią i nie masz spadochronu. Szkoła wymaga od Ciebie pokory. Podkłada Ci nogę, a ty upadasz. Na dole plujesz sobie w brodę, jakim bałwanem byłeś. Chcesz oskarżyć innych, ale wiesz, że to Twoja wina. Nie becz, nie jesteś mazgajem, więc przestań się użalać nad sobą. Upadłeś tylko po to, by wstać i z pokorą iść dalej na przód.



## “The Killing Type”

Nie ukrywam, nie jestem umysłem ścisłym. Ogniam matkę, a załamany, przytulam się do oprawionego zdjęcia Einsteina, szlochając i mówiąc: “Oh, Al, co mogło pójść nie tak?”. Ale przy moim poczuciu sztuki, „umiejętnościach humanistycznym” i odwołań popkulturowych (mówiłem, że jeden but ukradłem Flashowi Gordonowi, a drugi Neilowi Armstrongowi), odgradzam się stanowczo grubą, wielgachną krechą od reszty nerdowego społeczeństwa.

Nie zabiję nikogo za to, że lubi coś innego. Nie jestem typem zabójcy. Ale środy potrafią wystawić moją cierpliwość na próbę. Przy wielu lekcjach tego dnia, zwłaszcza dwóch godzinach fizyki i chemii, czasem lubię usiąść sobie w koncie i coś popisać. Przeciętnie nastolatek w liceum pisze około sto stron. Niechcący wyrobiłem ponad czterysta procent normy. To jest naprawdę przyjemne, odciąć się na chwilę od sztuki liczb i wgłębiania się w esencję wszechświata, by dać sobie fory, nawet jeśli musisz słuchać: “Co ty robisz? Znajdźże jakąś pracę za to!”. Czasami nie chodzi o to, żeby zarabiać kokosy w eleganckim garniturze czy innej garsonce. Chodzi o to, by robić to, co się lubi najlepiej i najczęściej. Wzorem Franciszka Retmana z “Illuminacji” powinno się starać przeżyć stan zrozumienia nie rozumem, a całym sercem. To mi pozwala przypomnieć, że wybrałem tę szkołę, by szkolić się w nauce ścisłej i hołdować Uranii, a że lubię pisać, powinienem wykorzystywać to do popularyzowania wiedzy o świecie oraz tworzyć inteligentne teksty.



## “Driving Sideways”

Życie można porównać do prowadzenia samochodu. Twoi towarzysze siedzą obok Ciebie lub z tyłu. Ty siedzisz za kółkiem, prowadzisz. Niczym Frank Sinatra, wybierasz własną drogę. Ale czasami coś spycha Cię na pobocze. Nie wiesz, co robisz. Panikujesz. Wtedy ktoś, on lub ona, wysiada z auta. Chwilę się z Tobą kłóci. Wrywa Ci z ręki klucz, lewarek, sama wymienia koło, po czym siada za kierownicą. Ty z tyłu patrzysz, jak jedzie dalej. Pomaga Ci pokonać ten kawałek drogi. Tak zwana nieoczekiwana pomoc.



## “Baby, You’re A Rich Man”

Kim jesteś? Z prostego wędrowca, pazia buław, przeszedłeś metamorfozę. Jako rycerz pucharów, byłeś żądny doświadczeń, doznań, ale często schodziłeś na manowce. Teraz, będąc królem mieczów, posiadasz już wiedzę. Jesteś spokojny, bo masz samoświadomość, pojęcie o własnych zdolnościach. Kiedy uda Ci się to wykorzystać, rządź się światem. Powiedz mi zatem, jakie to uczucie?

Piątek, piąteczek, piątunio... Przed upragnioną nagrodą stoi jeszcze jeden dzień pracy. Ale bez obaw, mądrzejszy o doświadczenia z całego tygodnia, możesz wykonać Grande Finale. I nawet jeśli zdarzy się fałszywa nuta, a Ty znowu upadasz, to co z tego. Nie będziesz się tym przejmować przez najbliższe dwa dni. Będziesz miał wtedy czas, żeby chociażby nadrobić zaległości i przygotować się na następny poniedziałek. Bez względu na to, czego chcesz, poczuj się w piątek jako bogacz. Miej odwagę, jako licealista, spojrzeć sobie w lustro...

**KACPER KOWALSKI**

# W świecie stereotypów

Z okazji szkolnego Dnia Humanistyki w ZSA wzięliśmy udział w wykładzie na temat stereotypów wygłoszonym przez specjalistę z wrocławskiego oddziału IPN, pana Jerzego Rudnickiego. Poruszono kilka ważnych wątków.

## Skąd się biorą stereotypy?

Pozornie może się wydawać, że stereotypy powstają same z siebie, że pojawiają się nie wiadomo skąd i po prostu są przekazywane z ust do ust. Prawda jest jednak taka, że powstają najczęściej wskutek polityki państw mającej na celu ośmieszenie danej grupy społecznej bądź gloryfikację siebie. Wystarczy spojrzeć na bieg historii i można natychmiast dostrzec, że wraz z wydarzeniami politycznymi bardzo gwałtownie zmienia się moda na dany stereotyp.

## Dwa oblicza historii

Stereotypy historyczne nie biorą się znikąd. Odpowiadają za nie historycy, którzy tworzyli je, będąc na usługach tych, którzy im za to płacili, aby zmasakrować swoje winy, wady, potknięcia oraz uwydatnić pewne dokonania (nawet jeśli były one iluzją). Takich „sprzedanych” historyków mieli między innymi Neron i Aleksander Wielki. Warto wspomnieć, że byli również tzw. szanujący się historycy, którzy

opisywali fakty historyczne całkowicie zgodnie z prawdą. Pan Rudnicki wspominał, że najlepszy historyk wbrew znanemu stereotypowi jest ścisłowcem, a nie humanistą. Dlaczego? Ponieważ, aby dobrze zrozumieć i poznać historię, należy przeglądać najróżniejsze statystyki, mapy, wyliczenia, dokonywać swoistej analizy oraz syntezy wydarzeń.

## Średniowieczne memy

Uwielbiamy się z nich naśmiewać. Są proste i skuteczne, służą rozśmieszeniu, ale nie przekazywaniu faktów historycznych. Tworząc memy, przyczyniamy się do powstania swoistej karykatury przeszłości. Upraszczenie historii dla stworzenia z niej rozrywki, na przykład w formie gry komputerowej, nie jest dobrym pomysłem z jeszcze jednego powodu: młode pokolenie (co potwierdzono naukowo) najszybciej i najlepiej uczy się poprzez zabawę. W rezultacie stan wiedzy historycznej dzieci i młodzieży bywa niski oraz zniekształcony.





### **Sienkiewicz też trochę pomieszał...**

Wszyscy znamy trylogię Henryka Sienkiewicza. Akcja ostatniej części, „Pana Wołodyjowskiego”, toczy się m. in. w Kamieńcu Podolskim, w którym tytułowy bohater nie potrafi oddać twierdzy wrogom i w związku z tym wysadza się razem z nią. To ogromny symbol poświęcenia dla wyższych idei. Wszystko pięknie, tylko jakim cudem autor mógł opisać miasto, w którym nigdy nie był? Beletrystyczny opis nie jest zgodny z topografią okolicy, a pułkownik Jerzy Wołodyjowski (pierwotnie Michała Wołodyjowskiego) zginął w wyniku wybuchu, ale nie był to czyn samobójczy. Można to jednak wybaczyć pisarzowi, który pisał ku pocrzepieniu serc. Jednakże nic nie zmienia faktu, że jest to książka, która miała wpływ na historię, mimo że to, co w niej jest napisane, nie miało czasem miejsca w rzeczywistości.

### **Wschodni uchodźcy**

Kiedyś Polacy byli uważani za naród, który pomaga uchodźcom z innych państw. Nie ważne, kto to był, jakiej wiary - zawsze znajdował u nas schronienie. Co więcej, władze państwa wydawały ucho-

dźcy dokumenty nadające mu prawa godne obywatela. Odkąd jednak zaczęliśmy przyjmować osoby zza wschodniej granicy, zrobiliśmy się bardziej niechętni do pomocy, bo mamy pewne obawy. Taka sytuacja ma miejsce pierwszy raz w historii. Równocześnie pierwszy raz pojawiło się szersze rozeznanie z państw zza wschodniej granicy. Wcześniej zazwyczaj ludzie uogólniali, mówiąc: „To Ruscy”, teraz mamy świadomość, że uchodźcy to nie jest jedno państwo, każdy włada innymi językiem oraz związany jest z inną kulturą.

### **Stereotypy – jak sobie z nimi radzić?**

Stereotypy są po to, żeby się łatwiej żyło, bo mamy wtedy wytłumaczenie: „Ja wszystko już wiem”. Ludzie z natury są leniwi, należy więc ćwiczyć swoją świadomość i zawsze dokładnie wszystkiego się dowiedzieć, zanim coś zaopiniujemy. Należy również przeciwdziałać stereotypom historycznym, czyli znajdować prawdziwe dokumenty i przekazywać je IPN w celu udowodnienia, że historia, której się uczymy, była prawdziwa

**BARBARA KUBEK – 1 AL**



# Instrukcja obsługi człowieka

„Wiemy o ludziach tyle, ile nam powiedzą. Wiedzę tę następnie panierujemy. W skład panierki wchodzi: obserwacja własna, mieszanka filtrów i autorski komentarz. Tak przygotowany człowiek ląduje na rozgrzanym tłuszczu sytuacji i jest gotowy do spożycia”.

**T**ak o kształtowaniu własnej opinii o innych pisała Katarzyna Nosowska. Porównanie człowieka do panierowanego mięsa wydawać się może kuriozalne, ale wbrew pozorom jest bardzo trafne. Ze względu na złożoność ludzkiej natury, nie jesteśmy w stanie wyrabiać sobie opinii w sposób w pełni obiektywny. Można się wręcz pokusić o stwierdzenie, że nigdy nie zapamiętujemy ludzi takich, jacy są naprawdę. W głowie figuruje jedynie obraz ukształtowany przez wszelakie sympatie, uprzedzenia, stereotypy, wspomnienia, lęki. Zachowanie człowieka, jego wygląd i sposób bycia zapisuje się w pamięci po uprzednim porównaniu do tych wszystkich kryteriów. Dopiero wtedy można stwierdzić, czy zaobserwowane postępowanie traktujemy jako poprawne, pożądane, a może naganne i godne pożałowania. Ten proces może trwać bardzo długo. Czasami obserwowana osoba każdym swoim posunięciem burzy cały, misternie ułożony schemat, który powstał po poprzednich spotkaniach. W ten sposób kształtuje się swego rodzaju instrukcja obsługi człowieka. Na bazie zgromadzonych doświadczeń i obserwacji, dobieramy swoje zachowanie tak, aby w danej sytuacji jak najlepiej dopasować się do badanej osoby. Z taką instrukcją, teoretycznie, interakcje międzyludzkie powinny być bajecznie proste. Problem w tym, że w całym tym procesie często nie bierze się pod uwagę pewnego bardzo istotnego faktu – badany obiekt jest człowiekiem. Ludzie mają to do siebie, że ich osobowość jest na tyle złożona i nieprzewidywalna, że nie da się jej tak po prostu opisać szablonem. Stosując instrukcję obsługi człowieka zbyt często, można nie tylko stracić sympatię drugiej osoby, ale też zwyczajnie zrobić jej krzywdę. Aby to lepiej zobrazować, wróćmy do mięsa. Kupując wszelkiego rodzaju produkty spożywcze, zazwyczaj przywiązu-

je się dużą wagę do świeżości. Ważne jest nie tylko to, czy produkt jest świeży, ale też to, ile w takim stanie wytrzyma. Sprzedawcy robią, co mogą, aby zaspokoić wymagania konsumentów. Towar jest starannie pakowany i trzymany w chłodniach, żeby był jak najdłużej przydatny do spożycia. Na opakowaniu zawsze widnieje data – termin ważności. Kupując schabowego, nie trzeba się martwić, czy za dwa dni wciąż będzie można go zjeść i czy wciąż będzie tak samo smaczny, jak byłby tydzień wcześniej. Z pozoru mała rzecz, a ułatwia nam życie. Kluczową rolę odgrywa tu opakowanie. To ono dzielnie stoi na straży świeżości kotleta, aby ten mógł w nienaruszonym stanie zagościć na talerzu. Ważne jest jednak, żeby owego opakowania nie naruszyć. Choćby mała dziurka może zniweczyć misterny, układany od tygodnia plan, jakim jest niedzielny obiad. Choćby mała dziurka...



Podobnie jak kotlety w markecie, swoje opakowanie mają też ludzie. Takie opakowanie produkuje się z poprawności politycznej, uprzejmości, empatii i tym podobnych materiałów. Jest jednak nieporównywalnie bardziej wytrzymałe niż to, które chroni produkty spożywcze. W ostatnich latach, w dobie powszechnego sprzeciwu wobec mowy nienawiści, jego wytrzymałość coraz bardziej się zwiększa. Nie jesteśmy w stanie wyeliminować czynników, które regularnie naruszają opakowania, więc dążymy do tego, aby było je coraz trudniej przebić. Staramy się nie wypowiadać w sposób bezpośredni, aby przypadkiem nie sprawić komuś przykrości. Nie przejmujemy się usłyszonymi uwagami i ocenami, żeby nie dać się upokorzyć. Problemy generalizujemy, aby nie omawiać ich na przykładzie konkretnej osoby. To właśnie przez to można zapędzić się zbyt w korzystaniu z instrukcji obsługi człowieka. Ciężko ocenić, czy to, co powiedzieliśmy, nie uraziło naszego rozmówcy, jeśli nie mamy szczerzej informacji zwrotnej. Można cały czas stosować ten sam, zupełnie nieadekwatny schemat postępowania, wykreowany na podstawie zbyt pochopnej oceny drugiej osoby, nie wiedząc,

że za każdym razem sprawia to komuś przykrość. Wcale nie chcę tutaj bronić tych, którzy posługują się mową nienawiści, ani krytykować działań, które mają na celu z mową nienawiści walczyć. Zwracam jednak uwagę na to, jak niebezpieczne jest popadanie w skrajności. Wobec tego wszystkiego, z czym musimy zmagać się na co dzień, nie można zapomnieć, jak ważna jest szczerowość. Życie w świadomości, że inni w kontaktach z tobą posługują się zawsze instrukcją obsługi człowieka, w dodatku zupełnie nietrafioną, może być równie bolesne, jak doświadczenie mowy nienawiści. Warto czasem przebić starannie przygotowane opakowanie człowieka i przekonać się, czy to, co wykreowaliśmy w głowie na czyjś temat, ma jakiegokolwiek pokrycie w rzeczywistości. Nie analizować, nie symulować potencjalnych scenariuszy, po prostu zapytać. Osiągnięcie czegoś bez uprzedniego czytania instrukcji jest o wiele bardziej satysfakcjonujące, niż zrobienie tego samego przy pomocy szablonu. Schabowe bez panierki są naprawdę smaczne...

**BARTEK DZIEDZIC – 3 AL**





# Tego nienawidzę

Właśnie tak miał się nazywać mój blog, kiedy wpadłem na pomysł, że go założę. Jak widać, nie założyłem. To miał być hołd dla wybitnej powieści graficznej „Transmetropolitan” Warrena Ellisa i Daricka Robertsona, w której główny bohater, dziennikarz Pająk Jeruzalem, prowadził stałą rubrykę pod tym tytułem.

**P**ostać inspirowana Hunterem S. Thompsonem obsmarowywała wszystko i wszystkich: polityków, fanatyków religijnych, faszystów, miłośników psów, złodziei DNA, itp., itd. I wiecie co? Podziwiam go za odwagę, by pisać, że np. premier Francji jest przestępcą seksualnym.

Podziwiałem także Juliana Assange, twórcę niesławnego Wikileaks, którego od czasu do czasu lubię przejrzeć. Nie zamierzam rozwodzić się o etyce prowadzonej przez serwis, czy o prawdziwości dokumentów publikowanych w nim, aczkolwiek otwierają oczy na to, co się naprawdę dzieje. Nie ukrywam, jednak, że zawiodłem się w 2016 roku, kiedy Wikileaks opublikował dane związane z e-mailami Hilary Clinton, przez co jej poparcie spadło i wygrał ten... wiecie kto. To prawda, miała swoje za uszami i zachowywała się (zachowuje się) niczym Makbet lub Dick Cheney, ale bądźmy szczerzy, lepsza taka prezydent niż król Tweetera, ociekający szowinizmem i seksizmem niepełnosprytny w peruce. Po niespełna dwóch latach kadencji modłę

się do każdej siły wyższej o establishment dla niego. I mam nadzieję, że Wikileaks w tym pomoże.

Ale nie tylko tego nienawidzę. Zawsze podkreślam, że mam uraz do głupoty. Nieważne, jakiego typu. Nie ukrywam, nie darzę sympatią konserwatyzmu i prawicy. Kiedy patrzę na radykałów z tego środowiska, to mi się robi słabo. Zwłaszcza gdy słyszę np. o negacji globalnego ocieplenia, tezach o likwidacji Izraela, homofobii, pro-life czy o niewidzialnej ręce rynku. Sorry, ale ja tego kitu nie kupuję. Tak samo jest od drugiej strony: Greenpeace, który atakuje GMO i energetykę jądrową, ultrafeminizmu, ACT UP atakującego koncerty farmaceutyczne (doceniam ich działania w sprawie osób zarażonych HIV, ale tamci ludzie robili, co mogli) czy francuskiej młodzieży z maja 1968 roku, która wyrażała swój podziw dla polityki ZSRR, a także czerwonej książeczki (nie mniej sam jestem przeciwko tradycjonalizmowi, imperializmowi czy innym izmom).

## Nazywam się Kacper J. Kowalski i nienawidzę radykałów.

Chodzę w wojskowej kurtce. Czasami lubię stanąć w niej przed lustrem i zapytać „You talkin’ to me?”. Mam wpiętą w nią tęczową wstążkę i często mówię do ludzi „L’chaim”.

A także (w tym miejscu proszę o wyrozumiałość i z góry przepraszam za język) jestem katolicką damą lekkich obyczajów, co raduje się ze ślubu z czarnym Żydem, który pracuje w wojskowej klinice aborcyjnej.

Jak pisałem wcześniej, nie lubię radykałów, a ze wszystkich najbardziej wkurzają mnie rasiści. Z rozkoszą wziąłbym laskę i ich tłukł, tak jak oni o tym marzą. Jeśli znikną, czy pretensje zgłosi ktoś? A tak na poważnie, to dlaczego tak bardzo nienawidzą innych ludzi? Co złego im zrobili? Czy to, że ktoś ma inny kolor skóry, płeć, religię, orientację seksualną, narodowość, „rasę”, znaczy że jest gorszy. Przecież wszyscy jesteśmy jedynie strukturami węgla, wodoru i tlenu. Niczego więcej.

Odpowiedź jest bardzo złożona. Może wynikać to z wychowania w takim a nie innym środowisku, w takiej rodzinie, z takimi ludźmi, w takiej wspólnotie religijnej, w takiej szkole. Różny bagaż doświadczeń wpływa na psychikę. Inną przyczyną może być dawanie się zwieść manipulacjami, sztuczkami psychologicznymi, itp., itd.

Jeszcze inną przyczyną jest po prostu głupota. Ta sama, która powoduje, że zawodzi czynnik ludzki. Ta, która honorowana jest nagrodami Darwina. Ta, która nie jest honorowana IgNoblami. Połączona z lenistwem, daje katastrofę. Kiedy polityk mówi ludziom, że nie muszą niczego robić, by dostać pieniądze, że to wina tych, tamtych, elit, Żydów, kobiet, to ma już ponad połowę elektoratu w kieszeni.

## Nazywam się Kacper J. Kowalski i nienawidzę chciwych mediów.

Zepsuć sobie humor jest o wiele łatwiej niż go sobie poprawić. Zacznijmy od tego, co mnie cieszy. Miło dla mnie jest wrócić po ciężkim dniu do domu. Lubię poczytać Terry'ego Prachetta, obejrzeć „Latający Cyrk Monty Pythona”. Przeczytanie wiadomości od przyjaciółki, z którą dawno nie rozmawiałem, przytulenie się do rodziców - takie proste rzeczy, a tyle radości.

Jak wprawić się w zły humor? Włącz komputer i otwórz przeglądarkę internetową.

Założę się, że mało osób zna polski zespół Poluzjanci (dawnie Polucjanci, swoją drogą bardzo dobry). W każdym razie pozwolę sobie zacytować ich piosenkę „Głód sensacji”:

*Bomba znów rozwaliła gdzieś pół miasta,  
Wiernych pułk innym wiernym strzela w kark.  
Z więźnia zbiegł bardzo groźny pederasta,  
księżna M. rozwolnienie ma [...]*

*Zatrzymane w kadrze  
porcje życia smaczne,  
niech się naród nażre,  
głód sensacji wciąż w szarej masie.*

*Józef K. ma przekazy od kosmitów,  
znany pan ściągnął spodnie, wypiął tył  
w szkole ksiądz był handlarzem narkotyków,  
zdrowy bądź, świeże soki pij [...]*

*Przerwa na reklamę,  
kto chce z państwa być zbawiony  
niech pod 00773 zadzwoni.*



Tymże stały się media. Pogoń za kolejną, najlepiej jak najbardziej tragiczną, sensacją zawierającą najlepiej przemoc, seks, narkotyki i wyrywanie paznokci (w zwolnionym tempie!).

Nieważne jaka stacja, jaka strona polityczna, każda prześciga się w podkładaniu przeciwnikowi kolejnych świń tylko po to, by więcej ludzi to czytało. Doceniam rzetelne dziennikarstwo, sam czytuję artykuły, które są poparte solidnym materiałem źródłowym. Nie zmienia to jednak faktu, że po dziesięciu minutach spędzonych na stronach serwisów informacyjnych lub choćby portali zabijają nadzieję dla tego świata. I najgorsze w tym wszystkim jest to, że prędzej czy później stoi za tym oglądalność. Im tragiczniejsze newsy i niuanse, tym lepsze.

## Nazywam się Kacper J. Kowalski i nienawidzę jawnej głupoty.

Jest stary dowcip. Dwóch gości umarło i teraz siedzą w zaświatach. Jeden z nich zawsze był typem malkontenta i cynicznego pesymisty. Jego przyjaciel - wręcz przeciwnie. Raz się go pyta: „Słuchaj, stary, jak to się stało, że przestałeś się cieszyć z życia, straciłeś swoje joie de vivre?”, na co ten mu odpowiada: „Umarłem”.

Wiele osób skarży się, że jestem pesymistą, że nie potrafię dostrzegać cudów i dziwów świata. Nic z tych rzeczy. Widzę piękno, które mnie otacza. Czuję dobro emanujące od wielu ludzi i zdarzeń. Ale widzę też zło. Nie ukrywam, że każdy medal ma dwie strony: śmierć- życie, światło-mrok, dobro-zło. Nie zamiatam okropności pod dywan. Staram się dowiedzieć, jak najwięcej.

Ale jak na razie, mimo światła wewnątrz mroku, widzę duszącą się ludzkość. Pod warstwami głupoty, nienawiści i lenistwa.

Nie chcecie, żeby było inaczej.

**KACPER KOWALSKI – 2 AL**

# Dojrzewanie według Michała

Dojrzewanie to okres w życiu młodego człowieka, w którym silnie pożądane są odrębność, wolność, samodzielność.

Zbiologicznego punktu widzenia jest to moment nasilonej pracy organów, by przystosować je do dorosłego życia. Przez zmiany w - oraz na ciele - nastolatki odczuwają chęć buntu, a nieuzasadniona z pozoru agresja i złość zostaje przelana na kolegów, nauczycieli i najbliższych. Jednakże, czy te zarzuty o nieuzasadnienie złości same w sobie są uzasadnione?

Od dziecka jesteśmy zmuszeni do posłuszeństwa, najpierw wobec starszych, potem mądrzejszych, a potem często i bogatszych. Natura człowieka to wolność, nieograniczona swoboda, a hierarchia ludzkiego społeczeństwa tłamsi odwieczne dążenie ku wolności. Wysuwam tezę, że nastoletni bunt nie wynika tylko z biologicznych przemian organizmu, ale także z powolnego nabierania świadomości niewoli. Gdy jesteśmy dziećmi, nie obcujemy na tyle ze światem dorosłym, aby być świadomym czekającego nas w życiu ucisku. Gdy zatem do człowieka, już nastoletniego, dotrze wizja życia spędzonego na szczebelku hierarchicznej drabiny, poczną odczuwać potrzebę walki.

Osoby młode często popadają w depresję lub inne problemy związane z psychiką. Uważam, że przynajmniej część z nich jest spowodowana

drugim etapem dojrzewania: świadomością, że walka, którą się prowadzi, jest skazana na porażkę.

Dojrzewanie dzielę na trzy etapy: walkę z otaczającym nas światem, później jest okres świadomej porażki, a co się z tym wiąże - poddanie się (lub dalsza walka)

Pierwszy etap, który już przybliżyłem, jest głównym etapem dojrzewania, najsilniej widocznym publicznie. Objawia się buntem, próbami zaistnienia w szkolnym czy domowym gronie. Największą bolączką dojrzewania jest to, że etapu tego nie poprzedza żadne łagodne przejście, człowiek młody, który przecież jeszcze chwilę temu był dzieckiem, zostaje rzucony na głęboką wodę - w dorosłość. Brak łącznika między dzieciństwem a dojrzwaniem sprawia, że wielu młodych ludzi rozbija się o mur nastoletności, gubiąc dziecięce marzenia; ograbia społeczeństwo, świat z możliwych przyszłych talentów, geniuszy. Ta pierwsza selekcja wybiera z grupy docelowej najłatwiejsze cele, które przy pierwszych niepowodzeniach, dają się upchnąć na półce. Dopiero następna część powolnego i nużącego procesu dojrzewania jest prawdziwym sprawdzianem wytrzymałości na własne słabości.





Drugi etap to refleksja nad bezsensownością buntu, która może rozwinąć się w dwojaki sposób - albo człowiek poddaje się systemowi i pozwala się sklasyfikować, posortować i wrzucić do szuflady, albo rozpoczyna samotną wędrówkę przez życie, jak Alex Supertrump w filmie "Into the Wild". Ludzie, którzy wybrali drugą drogę, są włóczęgami niekoniecznie w sensie fizycznym, ale przede wszystkim w sensie wewnętrznym, są zagubieni i nie potrafią się odnaleźć w systemie. Są poza klasyfikacją. Ich byt opiera się na odmienności i indywidualności, która jest przez system przedstawiana jako zła. Podobną sytuację przybliża nam książka "Fahrenheit 451" amerykańskiego pisarza Ray'a Bradbury'ego, który opisuje groźącą amerykańskiemu społeczeństwu przyszłość, w której inwigilacja przerasta prywatność, a masa ludu jest ogłupiana przez władzę 24 godziny na dobę.

Dawniej wśród osób dojrzewających, które wybrały drogę dalszej walki z systemem, kształtowały się pewne mikrosocjety, które łączyły pewne wartości, zachowania. Ci ludzie mieli swoje charakterystyczne stroje, slangi, które miały coś manifestować. Każdy przecież zna gotów, punków i hipisów. Każda z tych grup miała na celu pokazanie, że odmienność nie jest zła. W dzisiejszych czasach nie spotykamy tak często tego typu stowarzyszeń, ponieważ współczesna młodzież, mówiąc potocznie, "wymięka". Nikt już nie walczy, ponieważ dziś system ma więcej dróg działania na odporne jednostki. Internet, telewizja... - te media pozwalają na wmawianie

nastolatkom, że ktoś inny to ktoś zły, niepasujący. Okres dojrzewania to walka człowieka z samym sobą, próba akceptacji swej inności, niebanie się jej. Wspomniałem już wcześniej o ruchach antysystemowych, manifestujących swą odrębność. Jest to dość paradoksalna i niejasna sprawa, ponieważ większość pisarzy, satyryków, reżyserów teatralnych i filmowych jest samą częścią tej maszyny. Nie deprecjonując wartości reprezentowanych przez hipisów, z bólem muszę przyznać, że najgłośniejsze krzyki o indywidualności słyszymy z reklam, telewizji lub natykamy się na nie w internecie. Jest to często celowe działanie systemu, by odwrócić uwagę jego oponentów. Przed tym powinni się najbardziej strzec młodzi ludzie.

Jedynym lekarstwem na tę chorobę jest myślenie. Jest to ostatnie, co pozostało nam, nie tylko podczas dojrzewania, ale w całym życiu. Ta cecha, opisywana jako istota człowieczeństwa, staje się nam, niestety, coraz dalsza. Przedstawiony wyżej wywód, uzasadnia, w moim mniemaniu, tezę, iż okres dojrzewania jest ostatnim zrywem wolności przed niewolą hierarchicznego społeczeństwa. Możemy z tego wyciągnąć proste nauki: myślimy, nie bierzmy niczego za pewne, podważajmy to, co zdaje się niepodważalne, a przede wszystkim bądźmy sobą i akceptujmy także nasze drobne wady, nienarzystycznie obracając je w zalety.

**MICHAŁ MĄDRALA – 3 CG**



# Panierka

Człowiek z biologicznego punktu widzenia to istota żywa wyróżniająca się pośród innych najwyższym rozwojem psychiki i życia społecznego, jedyna posiadająca kulturę i zdolna do jej tworzenia.

**W**edług Biblii jest to najdoskonalsza istota stworzona przez Boga. Jest do Niego podobna, a jej życiowym celem było panowanie nad ptactwem, rybami morskimi, bydłem, nad ziemią i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi.

Z punktu widzenia filozofów natomiast człowiek to swoisty przedmiot refleksji dany jako psychofizyczna całość, ukonstytuowana przez równoczesne bytowanie w dwóch wymiarach: cielesno-fizycznym oraz - w najogólniejszym tego słowa znaczeniu - duchowym.

Lecz kim jest człowiek? Co w sobie skrywa? Jakie są jego tajemnice oraz jaka jest jego prawdziwa twarz?

Każdy z nas pragnie być idealny. Chce być kimś, kogo wszyscy uwielbiają, podziwiają, szanują. Dobrze czuje się, gdy wie, że pasuje do grupy ludzi, w której się znajduje. Jednakże, dążąc do ideału, przestajemy być sobą. Przestajemy być kimś, kim naprawdę jesteśmy oraz tracimy wszystkie, wyróżniające nas cechy. Przybieramy nowe twarze, maski lub gęby i udajemy kogoś, kim nie jesteśmy. Lubimy siebie takich, ponieważ w ten sposób łatwiej jest nam dopasować do otoczenia lub wpaść komuś w oko.

Prawda jest taka, że człowiek przebywając wśród innych, nie jest sobą. Dobierając odpowiednią gębę do sytuacji, w której się znajduje, staje się kimś zupełnie nowym. Uważa, że lepiej jest udawać, a czasem i nawet kłamać, aby pasować, ponieważ niezmiernie ważna jest dla niego opinia innych ludzi. Zdanie jednej osoby na temat drugiego człowieka w dzisiejszych czasach wzbudza ogromne zaint-

eresowanie. Każdy z nas może bezprawnie oceniać innych, robiąc to prywatnie jak i publicznie w internecie, na wielorakich portalach społecznościowych takich jak np. Facebook czy Instagram. Opinia może być różna, zarówno nacechowana pozytywnie jak i negatywnie. Każda z nich jest jednak bardzo ważna.

Wiele jest osób, które nie potrafią przeżyć jednego dnia bez sprawdzenia opinii na swój temat w mediach społecznościowych. Pragną stałego dostępu do informacji dotyczących ich samych. Chcą wiedzieć, jak postrzegają ich inni oraz starają się zmieniać tak, aby zawsze być idealnym. Robią to bez względu na to, czy im to odpowiada czy nie. Najważniejsze jest dla nich zdanie drugiej osoby. Można powiedzieć, że żyją oni światem internetu. Często opinia kogoś z zewnątrz bywa ciężarem i szkodzi krytycznie ocenionemu.

Najgorsze w tym wszystkim jest jednak to, że nie będąc sobą, zostajemy odbierani przez innych za takich, na jakich wglądamy. Poznają nas jako „ludzi w panierce”, czyli połączenie naszego prawdziwego oblicza z dodatkowymi filtrami, jakie na siebie nakładamy, ukrywających SAMYCH SIEBIE.

Wszyscy wiemy, że kluczowa jest jakość produktu, a panierka jest niezdrowa. Jednakże nie zmienia to faktu, że każdy z nas nakłada na siebie „panierkę” i w taki sposób daje się poznać innym. Tak jak pisze Katarzyna Nosowska w swojej bestsellerowej powieści pt. „A ja żem jej powiedziała”, dopuszczamy do siebie ludzi na odległość, którą rozpoznajemy jako bezpieczną.

**WERONIKA GOSIEWSKA – III AL**

## Przepis na dobrą panierkę

Aby stworzyć dobrą panierkę, podejmij następujące kroki.

- Jako bazy użyj surowej oceny świata.
- Roztrzep ją na gładką, jednolitą masę.
- Zagęść paranoicznym strachem przed byciem źle zrozumianym.
- Mieszaj przez dokładnie trzy rozmowy o ukrytym znaczeniu, koniecznie przeciwnie do ruchu wskazówek zegara
- Aby panierka nie rozpadła się w procesie smażenia, zalecane jest usunąć jakiegokolwiek pływające w niej odłamki samokrytyki (ale tak, żeby nikt nie zauważył).
- Następnie znów ją zamieszaj, by była jednorodna.
- Na samym końcu dosól ją brakiem empatii

W tak stworzonej panierce można już się obtaczać. Najlepiej od razu wrzucać się na głęboki olej – tak panierka najszybciej stwardnieje i będzie dłużej trwała. Niektórzy będą chcieli ją z ciebie zerwać, ale pamiętaj – **nie daj się zjeść!**

**ANIA ZIOBROWSKA – 3 AL**

# W obronie masek

Ludzi nie sposób jest zrozumieć w pełni. W ramach kontaktów międzyludzkich starannie kompletujemy układankę faktów o drugim człowieku. Układanka ta to jednak nieustannie rozszerzająca się płaszczyzna, puzzle-nowotwór, których żaden z nas nie jest w stanie dokończyć.

Jakkolwiek pesymistyczny nie wydaje się ten obraz, codziennie przymykamy na niego oko - wykorzystujemy znajomych, poznajemy przyjaciół, zakładamy rodziny. Tymczasem postrzegani przez nas znajomi, przyjaciele, najbliżsi są jedynie wierzchołkami góry lodowej - skrawkami znajomych, okruchami przyjaciół, żdźbłami najbliższych. Brzmi źle, ale to nam wystarcza.

Założmy, że świat ułożył się inaczej. Żyjemy w socjologicznej utopii, w której poznanie człowieka na wylot jest na wyciągnięcie ręki. Idzie się do pracy i szuka ofiary - ta po prawej druga od parape- tu. Podchodzi się, zami- enia kilka frazesów, stop- niowo przechodzi do spraw ważnych, mało ciekawych, średnio ciekawych, dość cieka- wych. Po kilku dniach wie się już absolutnie wszystko. Bez fałszu, masek, tajemnic. Co zrobić z takim brutalnie wymaglowanym przez nas człowiekiem? Każda rozmowa kończy się w połow- ie zdania, bo wiemy, co druga strona chce powiedzieć, tak samo każ- da nasza uwaga przerwana zost- aję jeszcze w trakcie jej formowania w myślach. Znamy się na wylot, czyli nauczyliśmy się na pamięć scenariusza każdej możliwej rozmowy. Usłyszane zdania nie są w stanie nas zaskoczyć. Równie dobrze moglibyśmy oglądać tę relację z perspektywy osoby trzeciej; wymiana zdań stałaby się jedynie złym koniecz- nym, spektaklem odgrywanym z przyzwoitości.

Kontakt z drugim człowiekiem oparty jest więc na wzajemnej niewiedzy. Nie wiemy, co dana

osoba myśli o swojej pracy, o polityce, o kuchni wegetariańskiej - dlatego pytamy. Ona odpowiada, mając świadomość, z kim rozmawia, nakłada maskę taką, aby dopasować się do nas w jak największym stopniu. Deklarujemy swoją niechęć do masek, oburzamy się na ich istnienie, wymag- amy kontaktu szczerego, niezawierające- go żadnej zaplanowanej strategii, żadnej maski. Wszystkie te ży- czenia są jednak objawami ślepego idealizmu - człowiek bez maski milczałby, nie wiedząc, co powiedzieć.

Katarzyna No- sowska poda- je przykład akto- ra, który pomimo swojej niechęci wykazuje obja- wy uprzejmości dla fanów, um- ieszczając go w roli modelowe- go uosobienia fałszu i obłudy.

Co jednak, jeśli robi tak co wieczór, chcąc umilić dzień naiwnym wielbicielom? Czy przyjm- ając z uśmiechem kwiaty i konwersując o swo- im najnowszym filmie, nie wolno pomyśleć mu o zepsuciu prze-

mysłu filmowego lub, cytując Nosowską, drapaniu się przez ulubiony dres? Wymaganie odrzucenia wszystkich negatywnych myśli o drugim człowieku jest absurdalne, równie absurdalne jest jednak życie w całkowitej izolacji. I właśnie z tego powo- du maski stały się naszymi sprzymierzeńcami.



Weronika - 3 AL



# Buty i ludzie

Stoję z tłumem na przystanku. Czekam, tłum również. Czekamy... Tablica wyświetla: „10 za trzy minuty, 33 za pięć”. W pierwszy - lepszy – wsiamam, tłum również. Wsiadamy...

**L**ubię jeździć komunikacją miejską sam. Nie dlatego, że nie lubię ludzi, wręcz przeciwnie - uwielbiam ich. Jadąc autobusem, tramwajem czy pociągiem, nie mając zazwyczaj nic szczególnego do zrobienia, zaczynam obserwować innych. W sytuacji, gdy jadę z kolegą, koleżanką, siostrą, bratem, z rodziną, jestem przymuszony do tzw. kulturalnej rozmowy, która nie jest dla mnie problemem, ale zabiera mi możliwość spokojnego szpiegowania. Tak to chyba można nazwać, bo przecież staram się podglądać dyskretnie. Nie chcę zamienić się rolą i stać się obserwowanym...

Zaczynam od głowy, ale tylko dlatego, że znajduje się na wysokości moich oczu. Szybko ją pomijam i przechodzę do butów. Nie wiem dlaczego, ale zawsze analizuję drugiego człowieka od stóp do głów, nigdy na odwrót. Może przywiązuję większą wagę do obuwia, a może po prostu twarz, która ma więcej szczegółów, zostawiam sobie na koniec. Na deser. Może jest to tylko kwestia wygody. Nie wiem.

A więc buty. Z nich można wiele wyczytać. Najpierw rodzaj: trampki, górskie, szpilki, eleganckie, sandały, klapki itp. Ilu ludzi, tyle różnych butów. Następnie zaglądam do ich portfela, to znaczy sprawdzam markę: Adidas, Nike, Wojas, Lasocki, Ryłko, Vans, Puma, Lacoste .... Niby tylko nazwa, a jednak - jak z automatu - przeliczam w głowie ceny i porządkuję. Na koniec stan buta. Co z tego, że but drogi, jeśli jest zaniedbany! Brudny, przetarty, zepsuty! Nie lubię ta-

kich. Najdłużej zatrzymuję się przy butach podobnych do moich. Porównuję moje i te cudze.

Dalej mamy spodnie, sukienkę, spódniczkę, koszulkę, koszulę, marynarkę, kurtkę, płaszcz, .... Zmęczony dość długą analizą obuwia przechodzę ten fragment względnie szybko. Wróciłem znowu do głowy. Rozebrałem całego człowieka i teraz mogę mu popatrzeć w oczy. Zajrzeć do duszy. Tylko, że ostrożnie. Nie da się patrzeć i mieć zamknięte oczy. Moja dusza również jest w tym momencie dostępna dla innych, muszę więc unikać kontaktu wzrokowego. Mam teraz czas, żeby pomyśleć o całym człowieku. Zgadnąć, kim jest, co robi, gdzie jedzie, skąd wraca, do kogo jedzie? Czy mi się to udaje? Raczej nie. Ludzie dobrze się maskują. Kryją emocje. Zamykają się... Sam, kiedy patrzą w moją stronę, szybko uciekam wzrokiem do butów. Tutaj jest bezpiecznie. I cykl się powtarza.

Po co to robię? Czekam na wyjątki: ojca z córką, wnuki z dziadkiem, stare małżeństwo, młodych zakonanych, rodzeństwo. Szukam tych z otwartymi oczyma. Buty i reszta schodzą wówczas na dalszy plan. Patrzą na wyrażane przez oczy emocje: radość, przyjaźń, miłość. Delektuję się nimi. Wysiedli..., ale ich szczery uśmiech, rozmarzone oczy, nieskrywany śmiech, w przeciwieństwie do logo na bucie, długo pozostaną w pamięci. Resztę trasy przejadę uśmiechnięty...



**ANDRZEJ MICHAŁEK – 2 AL**

# Wygraliśmy Mecze Matematyczne!

Niedawno miał miejsce finał Meczów Matematycznych na wydziale matematycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. W konkursie brały udział trzy drużyny: Gimnazjum Akademickie PWr, Gimnazjum nr 26 z Wrocławia oraz gimnazjum z Bolesławca.

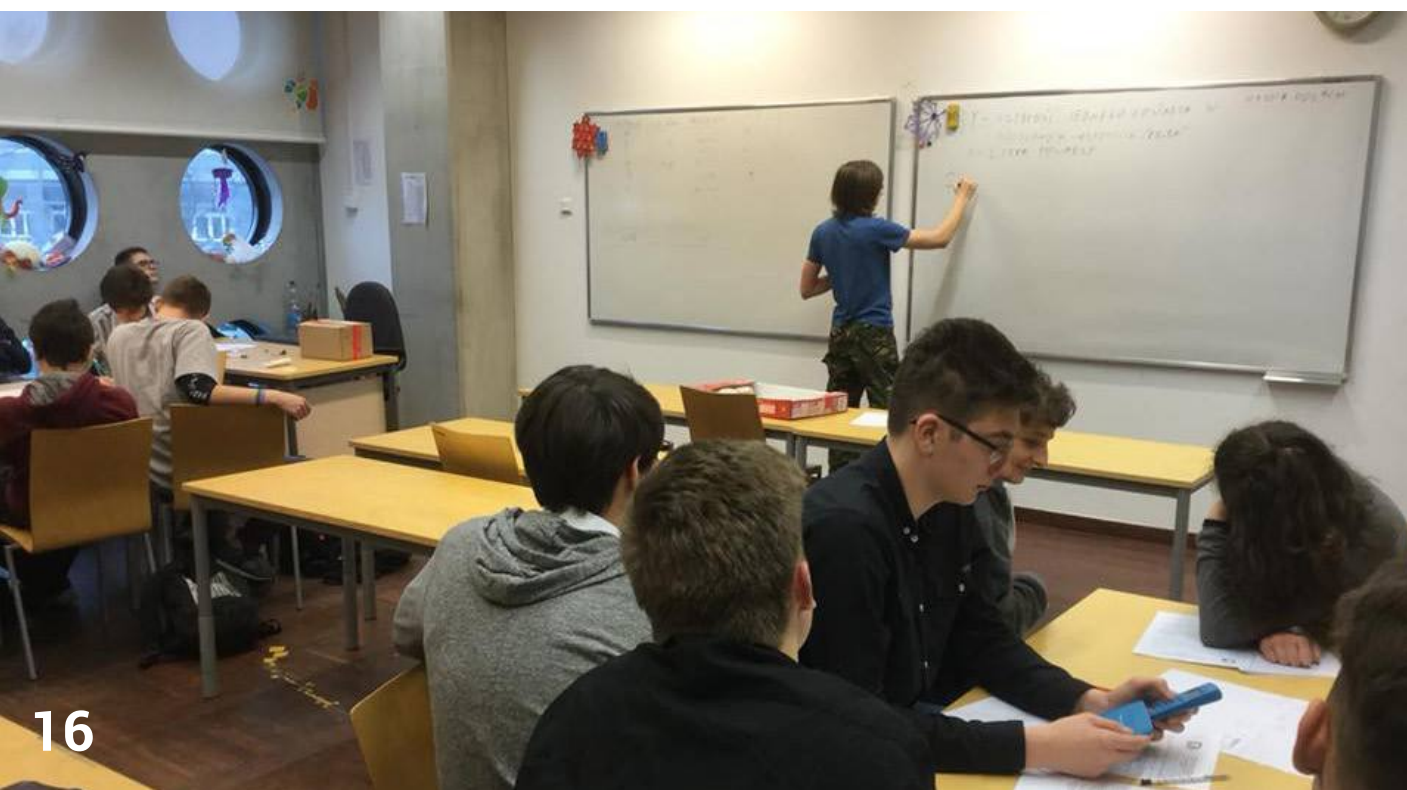
**K**ilka minut po godzinie dziesiątej zawodnicy zostali powitani przez organizatorów, a następnie zaprowadzeni do sal, w których rozwiązywali zadania. Naszą szkołę reprezentowali: Bartłomiej Bychawski (3 A, kapitan), Jakub Rudzik (3 C, zastępca kapitana), Szymon Sawa (3 A), Antek Kołat (3 A), Wiktoria Cymerman (3 A), Kuba Musiała (3 A), Michał Mądrala (3 C), Grzegorz Ciepłucha (3 C), Gaspar Sekula (3 C) oraz Łukasz Głogowski (3 C). Zadania konkursowe naszym reprezentantom nie sprawiły większej trudności. „Zrobiliśmy je w trzydzieści minut, potem tylko sprawdzaliśmy i nanosiliśmy ewentualne poprawki” – komentowali nasi zawodnicy po meczu.

Około godziny 11.30 rozpoczął się trójmecz. Losowanie ustaliło kolejność pojedynku. W rundach 1-6 gimnazjum z Bolesławca stało się drużyną A, Gimnazjum 26 – B, a my – C. Reprezentanci spoza Wrocławia rozpoczęli rozgrywkę, zadając grupie B zadanie nr 5, za rozwiązanie które-

go przyznano zaledwie 1 punkt. W drugiej rundzie otrzymaliśmy od GM nr 26 zadanie nr 12. Kapitan, Bartek Bychawski, wywalczył 9 punktów. W czwartej rundzie gimnazjaliści z Bolesławca zaproponowali nam pytanie nr 10, a za rozwiązanie Michała Mądrali zyskaliśmy 10 punktów (wszystkie możliwe do zdobycia). W kolejnym etapie rozgrywki nasi przeciwnicy z Wrocławia również zdobyli maksą za zadanie nr 7. W rundach 7-9, po nowym losowaniu, drużyny dzierżyły te same symbole. Zadaliliśmy zadanie 9 dla drużyny z GM 26, ale ich kapitan zdecydował się na odbicie, a Szymon Sawa zdobył dla nas 8 punktów. W ostatniej rundzie Łukasz Głogowski otrzymał za swoje rozwiązanie całą pulę.

Po ostatnim zadaniu komisja zapisała punkty na tablicy. Nasza szkoła zdobyła łącznie 37 punktów, Gimnazjum 26 – piętnaście, a reprezentanci z Bolesławca – 1. Naszą drużynę czeka teraz nadfinał w Poznaniu (terminu jeszcze nie znamy).

**GASPAR SEKULA – 3 CG**



# Kiedy kogoś możemy nazwać przyjacielem?

Nie zamierzam udzielać rozwlekłej odpowiedzi, krążącej wokół zagadnienia jak pies próbujący dogonić własny ogon. Zamiast tego może warto pochylić się nad powszechnie znanym stwierdzeniem, że to właśnie czworonogi nazywane są najlepszymi przyjaciółmi człowieka.

**P**przed oczami momentalnie pojawia się apoteoza żyjącego samotnie człowieka honoru i jego dzielnego psiego sąsiada (bohater bezkompromisowo musi być płci męskiej, koniecznie posepny i tajemniczy!). Stąd wynika, że przyjaciel jest nieodłącznym towarzyszem życia. Uważny czytelnik może teraz wtrącić: „Chwileczkę, przecież tak samo przedstawia się małżonka!”. Owszem, ale przyjaźń, w przeciwieństwie do miłości, nie jest targana przez pożądanie. Nie dobija się do naszego serca jak kochanek do okna z myślą dobrania się do naszych łudek. Jest niepozorna i naturalna. Przypałała się na przystanku autobusowym, przy szkolnej ławce, imprezie, na której znasz tylko gospodarza. Kielkuje przez brak zajęcia, a bujnie rośnie pod deszczem nagromadzenia tych chwil (choć wymaga nieco pogody ducha).

Jednak nie wystarczy być znudzonym i spędzać razem dużo czasu, by kogoś polubić. Uważam, że nie potrzeba wiele, by czuć do kogoś sympatię. Zazwyczaj wystarczy, aby jedna ze stron powiedziała: „Pewnie uznasz, że to dziwne, ale...” - a ty dokończysz wedle własnego uznania. Po tych słowach rozwija się bardzo emocjonująca dyskusja, po której dwie osoby nie są już w stanie odnosić się wobec siebie obojętnie. Magia tego zdania opiera się na przeczuciu, że rozmówca a) postara się zrozumieć, b) zrozumie lub - uwaga, tu najlepszy wylosowany wynik z koła fortuny - c) ma tak samo. Po zapaleniu się zielonej lampki nad możliwością c) oratorzy zaczynają klepać się serdecznie po plecach i wzdychają z ulgą: „O rany, całe szczęście, jeszcze nie szpital psychiatryczny”. Takie przypiecztowanie znajomości nie jest możliwe bez zaufania, że się nie skompromitujemy. Wymaga od obu stron tolerancji, która wynika z zainteresowania zagadnieniem

i tokiem rozumowania, które do niego doprowadziło. Ciekawość przewyższa uprzedzenie i poczucie wyższości, które stoją na przeszkodzie w zrozumieniu drugiego człowieka. Gdybyśmy mieli możliwość odszyfrowywania mowy w taki sposób, by odzwierciedlała dokładnie myśli i sposób ich rozumienia, na świecie zapanowałaby harmonia. Rozmowa zaangażowana, taka, jakiej my doświadczamy, jest namiastką tej harmonii, co rozumiemy jako przyjaźń.

Idealistyczne ujęcie relacji międzyludzkich wydaje się zasadniczo naiwne. Jednakże, próbując skryzalizować uczucie towarzyszące człowiekowi przy zawiązywaniu się mentalnej bliskości, konieczne jest pominięcie pojęć „łatwowierność” i „egzaltacja”. Doświadczenie platonicznej fascynacji drugą osobą bazuje na przebudzeniu intuicji i emocjonalności, które naturalnie



wyczuwają zawahanie. Natomiast po przekroczeniu konkretnego progu zaangażowania (które jest ulotne) kłamstwo staje się dla większości ludzi niedopuszczalne. Oczywiście, przy odpowiedniej mobilizacji możliwe jest narzucenie sobie zdroworozsądkowego okiełznania uczuć. Wyodrębnienie słów, gestów i okoliczności prowokujących do podania się sytuacji, może otrzeźwić umysł z gloryfikacji chwili. Pytanie, czy warto? Sądzę, że znajomość upodobań podświadomości, niekoniecznie powinna chronić przed ufnością, ale wspomagać kreowanie afirmacji tej chwili i manipulację swoimi emocjami, w celu zwiększenia ich intensywności.

Nie przeczę, świadomość wpływu przypadku na powstawanie głębokich doznań jest naprawdę cudowna. Ale czy zdolność dojrzałego rozumienia świata nie odbiera nam czegoś bardzo ważnego? Czegoś, dla czego warto żyć?

**MONIKA URBANIAK – 3 AL**



# Tears in heaven

**J**a widzę głównie... zgliszcza. I wspomnienia, bolesne wspomnienia. Widzę to praktycznie codziennie, gdy chodzę od kanału do kanału, od kryjóWKi do kryjóWKi. Nigdzie nie zostaję na stałe, zawsze na jeden, góra dwa dni. W ciągu dwudziestu trzech lat, które spędziłem na powierzchni, zdążyłem poznać to miasto jak nikt. Nie lubię myśleć o nim jak o Wrocławiu, który kojarzy mi się z pięknem, ze wszystkimi pięknymi wspomnieniami, jakie mam z nim związane. A Miasto... to po prostu określenie tego, co po nim pozostało. Być może kiedyś, za kilkadziesiąt, może kilkaset lat Miasto znów stanie się Wrocławiem, a ci, którzy przetrwają pod ziemią, wyjdą na powierzchnię i zaczną odbudowywać zniszczone wojną budynki, ulice, mosty. Odtworzą Wrocław, przynajmniej częściowo, w oparciu o wspomnienia tych, którzy widzieli go przed rokiem 2020 jako godną stolicę województwa dolnośląskiego i ludzi takich jak ja.

Gdy wybuchła wojna, miałem siedemnaście lat. Chodziłem do dobrej szkoły, miałem kilku bardzo dobrych przyjaciół, kochającą rodzinę, dom. Prowadziłem spokojne, szczęśliwe i w miarę zdrowe życie. Wojna odebrała mi to wszystko. Co do jednego.

Gdy wraz z dziadkiem, z którym w tym czasie byłem w centrum miasta, znalazłem się we wrocławskich kanałach, chowając się przed atakami, poczułem jakąś zmianę wewnętrzną. Uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczę domu, przyjaciół i tych wszystkich wspaniałych rzeczy w mieście i na całym świecie, które tak bardzo pragnąłem ujrzeć w przyszłości. Że wszystko to, co miałem w swoim nastoletnim życiu, przepadło wraz z wejściem do studzienki. Rozejrzałem się dookoła, popatrzyłem na tych wszystkich ludzi ściśniętych w kanał, na matki trzymające dzieci na ramionach, na pary ścisnące się ze strachem i pomyślałem, że nie chcę tak skończyć. Nie tutaj. Postanowiłem wyjść z tego więzienia na powierzchnię. Zobaczyć, czy jest aż tak źle, czy jednak można wrócić do dawnej rzeczywistości. Jednak wtedy popatrzyłem na dziadka i uświadomiłem sobie, że jeszcze nie wszystko mi odebrano. Mam jeszcze coś do stracenia.

Wraz z dziadkiem siedzieliśmy w kanałach siedem lat i siedem miesięcy. Ironia losu, prawda? Siedem – szczęśliwa liczba, jednak to właśnie

siódmego miesiąca ósmego roku mieszkania pod ziemią serce dziadka, pięć dni przed jego osiemdziesiątymi urodzinami, zatrzymało się nagle we śnie. 26 grudnia 2028 roku poczułem, że ten łańcuch, który trzymał mnie w kanałach przez ponad siedem i pół roku, rdzewiejąc przez ten czas od wszystkich łez tęsknoty za domem, w końcu pękł, czyniąc mnie wolnym. O dziwo, nie czułem z tego powodu radości. Smutku też nie. Poczułem raczej dziwną, pozbawioną wszelkich uczuć potrzebę wyjścia, jak narkoman potrzebuje kolejnej dawki. Nie cieszyłem się, nie bałem ani nie załamywałem na myśl o powierzchni – po prostu wiedziałem, że bez względu na wszystko muszę się tam znaleźć, nawet jeśli będę musiał o to walczyć.

Poszedłem od razu do zarządcy naszego „państwka”. Patrzył na mnie beznamyślnie i kiwał głową, choć założyłbym się, że nie zrozumiał nic oprócz tego, że jakiś dzieciak chce wyjść na powierzchnię, żeby „połączyć się z domem”, co w jego mniemaniu oznaczało paść ofiarą jakiegoś dzikiego zwierzęcia czy mutanta. Bo co go to w sumie obchodziło – masek gazowych, broni i tak nikt nie używał (oprócz stalkerów przychodzących tu co jakiś czas), a będzie przynajmniej jedna gęba mniej do wykarmienia. Więc dał mi jakąś maskę i kilka filtrów, pistolet i nóż, życzył powodzenia i... wygonił mnie z kanału.

Byłem pierwszym, który wyszedł na powierzchnię, pomijając stalkerów, którzy zbirali różne rzeczy z opuszczonych domów i magazynów. Tuż przed opuszczeniem kanału coś w rodzaju strachu złapało mnie za serce. A co, jeśli nic tam nie ma? - myślałem. A co jeśli na zewnątrz jest tylko jedna wielka pustynia, pełna stworzeń rodem z piekła? Wahałem się jednak tylko przez jakieś pięć, dziesięć sekund. Potem spojrzałem za siebie, na kanał. Nigdy nie znalazłem tu żadnego przyjaciela, czy nawet kogoś, komu mogłem się pożalić. Jediną osobą, z którą w ciągu tych siedmiu i pół lat rozmawiałem, był dziadek. Jednak jego już nie ma, powiedział głos z tyłu głowy, który z czasem przesunął się na czołowe miejsce w moim umyśle. Nie masz już nic do stracenia. Lepiej być wolnym niż w więzieniu, czyż nie? Ta myśl, która przychodziła do mnie prawie każdej nocy spędzonej w kanał, jak zawsze zwyciężyła. Wszedłem na drabinkę. Opuściłem podziemia.



„Czy teraz tego żałujesz?” - pyta się mnie jakiś robotnik siedzący dziś obok mnie w barze w kanale w okolicy placu Grunwaldzkiego. Nie odpowiadam. Nie dlatego, że nie wiem. Nie żałuję. W ogóle. Za każdym razem, gdy wchodzę do kanałów, aby kupić jedzenie, amunicję lub zwyczajnie się skryć w przypadku krytycznych warunków, robię to z bólem. Cały czas, kiedy siedzę pod ziemią, mój umysł krzyczy: „Wyłaź! Wyłaź!”. Czuję się jak klaustrofob. Mimo wszystkich trudności, z którymi muszę zmierzać się, nie żałuję tego, co zrobiłem dwadzieścia trzy lata temu. Jednak nikomu nigdy tak nie odpowiedziałem, mimo że to pytanie zadawano mi już wiele razy. Dlaczego? Bo ludzie chcą czuć, że mnie przejrzeni. Większość myśli: „Wyszedł i już nie może wrócić, co za idiota. Pewnie teraz chciałby iść do swojego kanału i błagać, aby go przyjęli z powrotem”. Nie chcę, żeby ludzie zupełnie się na mnie wypięli, już i tak mają mnie za świra. Milczenie jest w takiej sytuacji najlepszą opcją. Pytający myślą, że mieli rację, a ja nie muszę się przeciwstawiać swoim przekonaniom.

Dlatego dziś, jak zwykle, na to pytanie odpowiadam robotnikowi tylko spokojnym spojrzeniem. Ten wrzusza ramionami i odchodzi do lady. Wzdycham cicho, spoglądam na swoją szklankę po Bóg wie jakim napoju i też odnoszę ją na ladę. Patrzę przelotnie na barmana, który zabiera szklankę i obdarowuje mnie spojrzeniem typu: „Dziękuję, a teraz wynoś się z mojego baru, włóczęgo”. Znow wzdycham i kieruję się ku wyjściu z kanału. Sięgam po moją maskę, tę samą, którą dostałem dwadzieścia trzy lata temu od zarządcy przy moim pierwszym wyjściu. Filtry są co prawda wymieniane regularnie, ale boję się, że po jakimś czasie maska się zwyczajnie rozleci. Cóż, na nową trzeba mieć kasę. Wruszam ramionami i nakładam ją na twarz. Broda jak zwykle niemiłosiernie drapie. Zdążyłem się już do tego przyzwyczaić, podobnie jak do włosów, które co chwila wypadają i wlatują w różne miejsca na ciele – przede wszystkim na twarz i plecy. Poprawiam rękawice i kombinezon, i wychodzę na powierzchnię.

Światło już mnie nie oślepia, tak jak przy pierwszych wyjściach. Tak jak na początku po wychyleniu głowy przez studzienkę musiałem trzymać oczy zmrużone przez jakieś pół minuty, tak teraz po prostu potrząsam głową i wszystko jest w porządku. Wdrapuję się na ulicę, która jest poznaczona dziurami niczym żółty ser. Rozglądam się dookoła. Plac Grunwaldzki... Spoglądam na zgliszcza dawnego Pasażu i na przystanek tramwajowy pośrodku ronda. Dach, który kiedyś chronił pasażerów przed deszczem, zakrywa teraz większość przystanku, trzymając się tylko z jednej strony na dwóch kolumnach. Wszędzie leżą samochody pozbawione kół, drzwi, dachów, z podrdzewiałymi karoseriami. Przypominają mi o tym, że kiedyś byli tu ludzie, że żyli tu bogaci i biedniejsi, rodziny większe i mniejsze, starsi i młodszy. Wszyscy żyli tu i mieszkali, lecz przez czyjąś decyzję już tu ich nie ma – część jest w kanałach, ale większość jest tam, na górze... Patrzą na nas i mówią: „A może to dobrze, że nas już tam nie ma? Może tutaj, na górze, jest mimo wszystko lepiej?”

Rozglądam się. Spoglądam na wysokie kamienice, na ul. Skłodowskiej-Curie, Reja i Piastowską. Kolejne wspomnienia. Z jednego z leżących przy przystanku tramwajów (chyba linii 10) wychyla się nagle pysk dzikiego psa, kolejnej ofiary radioaktywnych opadów, które nadleciały przed laty głównie z Warszawy i wschodu. Staję bez ruchu, kładąc rękę na kaburze pistoletu wiszącej u pasa. Pies obraca głowę, spogląda w moją stronę. Z pewnością mnie już zauważył. Warczy cicho, z jego kłów kapie gęsta ślina, a oczy wpatrują się we mnie bez przerwy. Jednak po chwili, jakby się rozmyślił, tylko szczeka głośno w moją stronę, odwraca się i biegnie w swoją stronę. Odetchnąłem z ulgą. Mutanty są w mieście na porządku dziennym, chociaż podobno w innych miastach (przede wszystkim na Śląsku) było ich dużo więcej. Jednak, mimo że spotykam je po kilka razy dziennie i często obywają się na wzajemnym zabijaniu się wzrokiem, to za każdym razem na ich widok serce zaczyna mi bić szybciej. Tylko raz mutantowi udało się mnie dopaść.





Odwracam się plecami do przystanku. Robię to z pewną obawą, wręcz ze strachem, bo wiem, co tam ujrę. Widzę budynki Politechniki. Niegdyś wysokie, dumne, teraz załamane – szerokie przed trzydziestoma laty przejście na parking teraz praktycznie nie istnieje, zavalone gruzem. Wspinam się po ruinach. Nie wiem, czemu to robię. Prowadzę wewnętrzną walkę, w której jeden z głosów dominujących w mojej głowie krzyczy: „Co ty tu robisz? Idź stąd!”, a drugi mówi spokojnie: „A w sumie, co ci szkodzi? Włóż.” Te dwa głosy to po dwudziestu trzech latach wciąż moi jedyni przyjaciele. Zawsze szczerzy, zawsze bezinteresowni, dający dobre rady.

Zeskakuję na parking. Kolejne samochody. Wjazd do podziemi jest zavalony, szlaban wystaje pośród gruzu. Zastanawiam

się zawsze czy tam, w podziemnych parkingach, żyją ludzie, czy była to równie dobra kryjówka przed bombardowaniami jak kanały. Przechodzę dalej. Kolejne zburzone budynki, kolejne podziurawione ulice. Trawniki, które kiedyś mieniły się zielenią, dziś są brudne, szare. Drzewa, niegdyś dające osłonę przed słońcem lub oparcie do czytania książek, dziś leżą połamane i zwiędłe.

Z wahaniem spoglądam przed siebie. Widzę go. Budynek C13, budynek, w którym spędziłem zapewne najwięcej czasu z całego centrum Wrocławia. W mój umysł uderzają niczym taran kolejne wspomnienia. Napływają i wypływają, kiedy stoję i wpatruję się w szary, p r o s - tokątny budynek szkoły. Jedyne budynki w Mieście, który stoi prawie tak, jak stał trzydzieści lat temu.

Stałem w tym miejscu tylko dwa razy od wybuchu wojny. Za pierwszym razem, kilka dni po wyjściu, z oczywistych powodów chciałem iść do miejsca, które było dla mnie drugim domem, miejscem spotkań z przyjaciółmi, nauki, przyjemności i rozczarowań. Miałem wtedy cichą nadzieję, że inni też tam będą, że tak jak ja przeżyli i poczuli tę potrzebę wyjścia, połączenia się ze swoim „domem”. Była to absurdalna myśl, która jednak towarzyszyła mi przez całą podróż na Wybrzeże Wypiańskiego, napędzała mnie i zachęcała do działania. Jednak kiedy stanąłem przed budynkiem, zobaczyłem dziury w ścianach i wybite szyby w drzwiach i oknach, w mój umysł uderzyły wspomnienia szkoły przed wojną, kiedy w oświetlonym holu zawsze ktoś był, ktoś chodził, ktoś siedział,

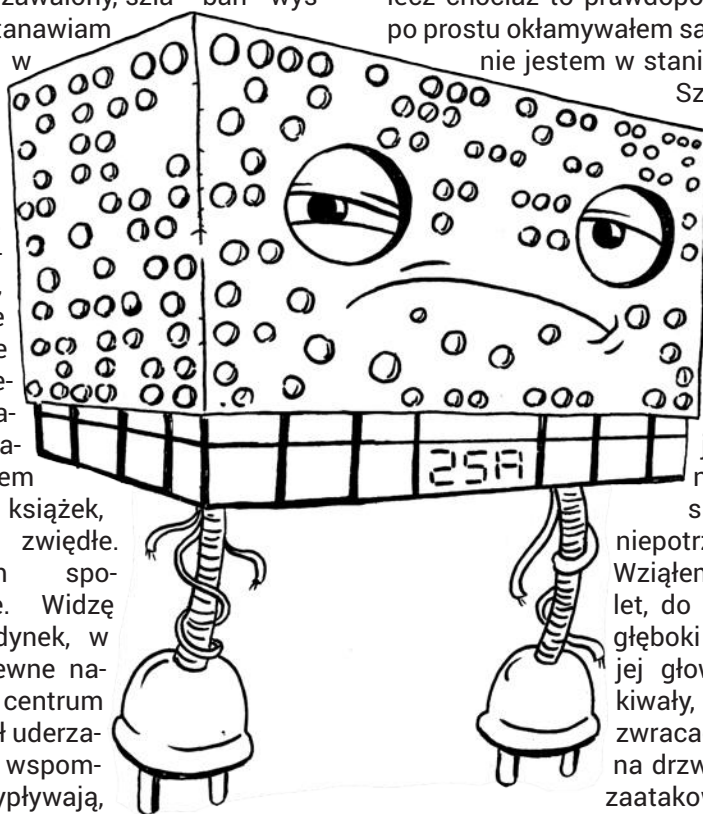
ktoś stał i rozmawiał. Kiedy zegar binarny przed wejściem, teraz praktycznie niewidoczny, świecił i migał, jakby mrugając do zrezygnowanych przychodziłem do szkoły uczniów. Kiedy szyby w oknach, których nie dało się wprawdzie otworzyć, przynajmniej były na swoich miejscach. Ten obraz wbił mi się w głowę tak bardzo, że gdy spojrzałem na budynki jeszcze raz, spuściłem głowę, odwróciłem się i odszedłem szybkim krokiem, jak najdalej od szkoły. Bałem się, że jeżeli tam wejdę, jeżeli przekroczę drzwi tego budynku, mój umysł eksploduje od nadmiaru wspomnień. Później próbowałem sobie tłumaczyć tę decyzję tym, że w tak dobrze zachowanym budynku muszą gnieździć się mutanty, lecz chociaż to prawdopodobnie też była prawda, po prostu okłamywałem sam siebie. Wiedziałem, że nie jestem w stanie tam wejść. Nie teraz...

Sześć lat później naszła mnie wtedy myśl, odważna, a zarazem lekkomyślna.

Pomyślałem, że to już ten czas, że już jestem gotowy. Ruszyłem w stronę szkoły, tak jak zrobiłem to za pierwszym razem. Zatrzymałem się przed wejściem. Nie spojrzałem nawet na zegar – bałem się, że wywoła on u mnie

niepotrzebne wspomnienia. Wziąłem do jednej ręki pistolet, do drugiej latarkę, wziąłem głęboki oddech. Głosy w mojej głowie znów się przekrzykiwały, lecz przestałem na nie zwracać uwagę. Położyłem rękę na drzwiach... w tym momencie zaatakowały mnie przebliski pa-

mięci. Tak, jak przewidywałem, zobaczyłem pustą, zniszczoną Bazylię, przewrócone automaty, parę rur wyrwanych z sufitu. Stało się to samo co sześć lat wcześniej. Zacisnąłem powieki, powstrzymując się od krzyku. W głowie widziałem siebie, lecz nie przed, a w budynku, z plecakiem na ramieniu, śmiejącego się z przyjaciółmi, zmierzającego na przystanek. Żaden inny budynek nie wywoływał i prawdopodobnie nie wywoła u mnie większych przeblisków pamięci, nawet mój rodzinny dom. Zapewne dlatego, że gdy dotarłem do tego domu, zastałem tylko ruiny i nic poza tym. Później przeklinałem tych, którzy prowadzili działania wojenne we Wrocławiu. Nie dlatego, że je prowadzili (za to przeklinałem ich wcześniej). Przeklinałem ich dlatego, że nie udało im się zniszczyć tego budynku, który za każdym razem, jak się do niego zbliżałem, wywoływał u mnie fale bolesnych wspomnień.





I teraz stoję tutaj trzeci raz. Nie czuję się silniejszy, dojrzałszy czy bardziej gotowy do wejścia tutaj niż siedemnaście lat temu. Wciąż do końca nie wiem, co mnie tutaj właściwie sprowadziło. Jednak wiem, że musi być to coś bardzo silnego, skoro mogło przełamać strach przed pamięcią. Może ... może przeznaczenie.

Nigdy nie wierzyłem w przeznaczenie. Albo może inaczej: nigdy nie chciałem w nie wierzyć. Nie lubię tego, że coś miałoby kierować moim losem, krok po kroku. Chciałem sam nim kierować, przynajmniej częściowo. Uważałem że przeznaczenie to coś dla tych, którzy szukają wymówek dla złych wyborów. Jednak dziś... chyba pierwszy raz od trzydziestu lat zwątpiłem w swoje przekonania. Poczulem znów to samo co w chwili śmierci dziadka, tę narkotyczną potrzebę wejścia do środka, bo czułem, że coś mnie stamtąd wzywa. Może przeznaczenie, kto wie? A może to po prostu kolejny wymysł? Może to znów to podświadome wołanie: „Wejź tam! Teraz jesteś gotowy. Wtedy nie byłeś, ale teraz jesteś!”

Kładę dłoń na drzwiach. Nie wyciągam broni, mam tylko latarkę w lewej ręce. Po chwili namysłu chwytam jednak za nóż. Pcham mocno skrzydło, które, lekko poskrzypując, odchyła się. Zamykam oczy pod maską gazową, przestępuję próg budynku...

I nic. Nic nie czuję. Wspomnienia nadeszły, lecz nie różniły się specjalnie od tych, które uderzały we mnie, gdy spoglądałem na ruiny Magnolii lub Skytowa. Otwieram oczy. Przez umysł przelewa się niczym łagodna rzeka kolejne przedwojenne wydarzenia: powroty ze szkoły, nauka, jedzenie na przerwach obiadowych. Te wspomnienia nie atakują, tylko łagodnie przetaczają się przez mój umysł, jakby opowiadały mi historię przy ognisku.

Uświadamiam sobie, że wstrzymałem oddech, gwałtownie wypuszczam powietrze z płuc. Stawiam kolejne kroki, rozglądam się dookoła. To już nie ten sam budynek co trzydzieści lat temu. Widzę opustoszałą szatnię, w której wisi jeszcze jakimś cudem kilka wyżartych przez coś bluz. Widzę poprzewracane szafki, pył, kawałki szkła i cegły. Podchodzę do klatki schodowej, do wind. O dziwo, szklane drzwi prowadzące do schodów, choć brudne, stoją w całości. Otwieram je, a kolejne wspomnienia zaczynają napierać. Zbieganie ze schodów, żeby zdążyć na tramwaj. Wciskanie wszystkich przycisków w windzie. Lrytacja, gdy te windy nie działały. To wszystko spada na mnie, lecz ja już nie przeciwstawiam się wspomnieniom - pozwalam im płynąć równolegle ze mną.

Ale gdy wchodzę na pierwsze piętro, wspomnienia zaczynają cichnąć. Przyzwyczaiłem się do ciszy – Miasto rzadko kiedy obdarowuje mnie czymś innym, lecz nie lubię ciszy, która nagle ustępuje dźwiękom z zewnątrz. Dźwiękom, których zupełnie się nie spodziewam, ponieważ z mojego punktu widzenia nie mają prawa ich tutaj być. Dźwiękom ... ludzi.

Słyszę je tak niewyraźnie, że z przetrząsam

głową, myśląc, że to kolejny wymysł, kolejne wspomnienie. Ale nie – słyszę ludzkie głosy, przekrzykujące wrzaski w moim umyśle. Zdejmuję maskę gazową – głosy stają się wyraźniejsze, chociaż wciąż nie jestem w stanie rozróżnić słów. Głosów jest kilka, nakładają się na siebie, jakby się kłóciły, jednak ich ton jest spokojny, choć zdecydowany. „To muszą być kolejni ocaleni”. Wchodzę po schodach na przedsionek drugiego piętra. Nawet nie wchodzę na korytarz, tylko idę wyżej, w kierunku głosów, które stają się już coraz wyraźniejsze. Wchodzę na czwarte piętro. Słyszę głosy wyraźnie po swojej lewej. Nagle zaczynam rozumieć poszczególne zdania:

- ... proszę, zadanie dla ciebie...

- ... i teraz, proszę państwa...

- ... powiedz mi, proszę, czy...

- ... tak jest, proszę pani...

Staję jak wryty. „Niemożliwe”. Moje uszy zaczynają rejestrować kolejne pojedyncze zdania, które jednak nie brzmią już jak kilka monologów. Brzmią zupełnie jak... „Nie, to niemożliwe”.

W budynku C13, budynku Zespołu Szkół Akademickich, prawdopodobnie jedynym ocalałym dużym budynkiem w Mieście (nie, Wrocławiu!), trzydzieści lat po straszliwej wojnie w uznanych za opuszczone salach odbywają się... lekcje!

Siadam na okrągłej ławce przy szafkach, jednak muszę to zrobić dość głośno, bo nagle wszystkie głosy milkną. Nie jestem tego do końca świadom (choć może po prostu mnie to nie obchodziło), podobnie jak nie jestem do końca świadom mężczyzny podchodzącego do mnie z pistoletem w ręce. Słyszę przestraszony głos, pytanie: „Kim pan jest?”. W odpowiedzi potrząsam głową, okrywając twarz burzą tłustych włosów. Wspomnienia ponownie uderzyły z pełną siłą, próbując skruszyć mój umysł, jak to zrobiły już dwukrotnie wcześniej, jednak teraz pozwalają im na to. I przez to im się nie udaje. Przed oczami widzę wszystko związane z tym miejscem, co siedziało uwięzione w mojej głowie przez trzydzieści lat. Widzę nauczycieli – tych świetnych, a także gorszych, którzy jakby schowali się w cień. Widzę siebie kującego do historii, robiącego zadanie z matematyki lub piszącego rozprawkę z polskiego. Widzę wszystkie te rzeczy, na które tak bardzo narzekałem w szkole, a za które dałbym teraz tak wiele. Widzę przyjaciół, ich twarze przelatujące mi przed oczami. I wtedy zza zaciśniętej powieki wypływa... łza.

Gdy na pogrzebie dziadka nie uroniłem ani jednej łzy, pomyślałem, że nie ma już na tym świecie nic, co mogłoby doprowadzić mnie do płaczu. Gdy wyszedłem na powierzchnię i zobaczyłem zniszczony świat, który okazał się tak daleki od moich podkolorowanych wyobrażeń o „ocalałych”, byłem już tego na sto procent pewien. Nawet moje dwa głosy, co dopiero powstałe, były tego dnia ze mną zgodne.

Jak widać one również czasem się myślą...

**BARTOSZ KACZMAREK**

**„POLITECHNIK JUNIOR”  
PERIODYK ZESPOŁU SZKÓŁ AKADEMICKICH  
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ**

**Redaktor naczelny:** Kacper Kowalski.

**Zastępca red. naczelnego:** Maksymilian Skica.

**Fotoreporterzy:** Gaspar Sekula, Daniel Witkowski.

**Sekcja filmowa:** Maciej Proćków, Mateusz Torski.

**Technicy komputerowi:** Kamil Janowski,  
Karolina Lubczańska.

**Opiekun pisma:** Wojciech Walczak.